

Dlaczego Francja zerwała z żelazną zasadą polityki gen. de Gaulle'a, zakładającą równowagę wpływów Niemiec w Europie, i pozwala im zostać samodzielnym liderem?

Janusz Onyszkiewicz*

Francuski rozłącznik

Amerykański polityk Henry Kissinger zapytał w połowie lat 60. gen. Charles'a de Gaulle'a, jak Francja ma zamiar zapobiec ewentualnym próbom Niemiec uzyskania dominującej pozycji w Europie. De Gaulle, nie uważając widocznie, by ta kwestia wymagała szerszej odpowiedzi, odparł krótko – "przez wojnę". Było to w kilka lat zaledwie po podpisaniu przez Francję i Niemcy Traktatu Elizejskiego [1963], w którym oba kraje deklarowały wieczystą przyjaźń i solidarne współdziałanie, także w sprawach polityki zagranicznej.

Zgodnie z niepisaną umową, zawartą przy sygnowaniu traktatu przez prezydenta de Gaulle'a i kanclerza Konrada Adenauera, we wszystkich ówczesnych i przyszłych instytucjach integrującej się Europy utrzymany miał być pełen parytet między Francją i Niemcami. Tym samym, słabsza zarówno gospodarczo jak i pod względem ludnościowym Francja na zawsze zachować miała w Europie co najmniej taką samą siłę polityczną jak Niemcy i nawet ich zjednoczenie nic w tej sprawie nie mogło zmienić.

Powstrzymać Niemcy i związać

Zawsze obecna w myśleniu de Gaulle'a obawa przed odrodzeniem się Niemiec jako kraju dominującego w Europie - uwarunkowana zarówno jego biografią jak i doświadczeniami kraju - stała się na długo ważnym, choć często skrywanym elementem polityki francuskiej. Często też można było spotkać się z oceną, że podział Niemiec dobrze służył interesom Francji, bo ułatwiał jej odgrywanie wiodącej roli w reorganizacji powojennej Europy, a partnerstwo z Niemcami gwarantowało, że nie będą one prowadziły własnej (a więc nie uzgodnionej z Francją) polityki wobec NRD i krajów - jak to się wtedy mówiło - Europy Wschodniej.

Kiedy w roku 1989 pojawił się problem zjednoczenia Niemiec, celem polityki francuskiej stało się więc przeciąganie tego procesu i połączenie go z utrzymaniem partnera z drugiej strony Renu w NATO, ale przede wszystkim coraz to silniejszym wiązaniem go strukturami integracji europejskiej. Odżyły bowiem i uaktualniły się obawy przed drugim Rapallo [traktat z 1922 r.], a więc porozumieniem Niemiec z Rosją. Francja obawiała się też, że Niemcy będą szukać samodzielnej, dominującej pozycji poprzez realizację planu Mitteleuropy - czyli gospodarczego, a w konsekwencji także politycznego, podporządkowania sobie wyzwalających się z komunizmu krajów Europy Wschodniej i Środkowej.

Temu celowi powstrzymywania Niemiec służyć miało szybkie "pogłębianie" integracji europejskiej, czego wyrazem było przekształcenie na mocy Traktatu z Maastricht Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej w Unię Europejską, a także jeszcze silniejsze związanie gospodarek i finansów krajów Unii wspólną walutą – euro.

Właśnie obawa przed wzmacnianiem się Niemiec dzięki wsparciu ze strony krajów Europy Środkowej i Wschodniej sprawiała, że Francja długo dawała zdecydowane pierwszeństwo procesowi "pogłębiania" nad rozszerzaniem Unii Europejskiej. Ta obawa była widoczna nawet w trakcie dyskusji nad nowym traktatem w Nicei, kiedy to, według opinii znanych obserwatorów francuskiej sceny politycznej, "Francja starała się zjednać hiszpańskiego premiera Aznara i zastraszyć licznych kandydatów do członkostwa (przede wszystkim Polskę) przedstawiając dyskryminujące propozycje dotyczące ich przedstawicielstw w Radzie

Europejskiej i Parlamencie. Potencjalni zwolennicy Francji byli więc zjednywani i wabieni, podczas gdy kraje, które potencjalnie mogłyby wspierać Niemcy, dostawały po nosie”.

Nicea była kryzysem w stosunkach francusko-niemieckich, które znalazły się wówczas w najniższym od wielu lat punkcie. Francja próbowała desperacko utrzymać zasadę równej z Niemcami siły głosu w Radzie Europejskiej. W końcu udało się, lecz za cenę przyznania Niemcom znacznie większej reprezentacji w Parlamencie oraz, co znamienne, za cenę odejścia od rozstrzygania problemów zwykłą większością głosów i zbliżenia się (ale tylko zbliżenia) do preferowanego przez Niemcy systemu podwójnej większości (głosów i ludności).

Tak więc żelazna zdawałoby się zasada de Gaulle’a utrzymania parytetu z Niemcami została poważnie naruszona. Pełne od niej odejście nastąpiło jednak dopiero w popieranym zarówno przez Niemcy jak i Francję projekcie Traktatu Konstytucyjnego, w którym siła głosu Niemiec znacznie przewyższa siłę głosu Francji.

Trzy przyczyny słabości

Naturalnym jest więc pytanie: Co sprawiło, że kwestie, z powodu których Francja bliska była zerwania rozmów w Nicei, i które - wydawało się - są zasadniczym i stałym elementem stanowiska Francji, zostały całkowicie odsunięte na bok? (I to o ironio, przez spadkobierców politycznych de Gaulle’a).

Jedną z możliwych odpowiedzi opiera się na przypuszczeniu, że elity polityczne Francji doszły do wniosku, iż nie ma już potrzeby chronienia Niemców za pomocą rozmaitych ograniczeń przed odnowieniem się pokus, wynikających z poczucia siły. Elity francuskie wyzbyły się więc całkowicie obaw przed niemiecką dominacją i uznały, że podstawowe interesy Francji i Niemiec są w gruncie rzeczy identyczne. Tak więc Francja, wzmacniając Niemcy, zwiększa szanse na przeforsowywanie wspólnych (także francuskich) celów, a osłabiając siłę głosów państw nowo wstępujących do Unii, redukuje możliwość ich skutecznej opozycji.

Nie wydaje się jednak, by tak naiwne podejście mogło w istocie przeważać. W końcu różnice pomiędzy Niemcami i Francją co chwila dają o sobie znać. Przede wszystkim wydaje się, że oba kraje nadal mają odmienne poglądy na to, czym Unia Europejska ma być. Niemcy wyraźniej opowiadają się za modelem federalnym, Francja natomiast nie wyzbyła się wizji “Europy ojczyzn”, choć swoich koncepcji nie formułuje tym językiem.

W sprawach gospodarczych też może nieźle zaiskrzyć między Paryżem i Berlinem, choćby w kwestii polityki rolnej i tempa odchodzenia od subsydiowania rolnictwa. Nawet w polityce zagranicznej nie wszystko układa się tak, jakby to z Traktatu Elizejskiego wynikało. Ostatnia inicjatywa Joschki Fischera w sprawie Bliskiego Wschodu wywołała, jeśli wierzyć doniesieniom prasowym, pewną irytację w Paryżu, który podnosił, że nie została skonsultowana z francuskim partnerem.

Drugie możliwe wytłumaczenie zmiany we francuskiej polityce - to nadzieja, że pomimo zwiększonej siły Niemiec, Francja będzie uznawana za intelektualne i moralne centrum Europy. Francja objęłaby więc (utrzymała?) przywództwo w Unii nie ze względu na argument siły, ale - jak to określił jeden z publicystów francuskich - w oparciu o “siłę swych uniwersalnych idei”.

Choć Francja ma niezaprzeczalny ogromny potencjał intelektualny i piękną kartę walki o uniwersalne wartości, to jednak wielce wątpliwe, by pozostałe kraje Europy bez wyjątku zechciały przyznać Francji taki status. Podobną nadzieję mieli kiedyś - choć raczej niezbyt serio - pewni politycy brytyjscy, w których kręgu powstał pod koniec II wojny światowej zgrabny czterowersz podsumowujący przyszłe stosunki brytyjsko-amerykańskie: “to prawda,

że oni mają wory pieniędzy, ale głowy to mamy my”. Jak się jednak historia potoczyła – wiadomo.

Inna interpretacja zakłada, że Francja pożegnała się z nadzieją na utrzymanie swego statusu *primus inter pares* w Europie i byłaby skłonna oddać to miejsce Niemcom. W tej sytuacji z pewnością nie chciałyby stać się tylko jednym z wielu ważnych partnerów Niemiec. Innymi słowy: Francja idąc na ustępstwa, inwestuje w przyszłość w nadziei, że utrzyma szczególny status wobec nowego lidera, który pozwoli dostatecznie często skutecznie wpływać na jego działanie. Tym samym Francja byłaby dla Niemiec tym, czym Wielka Brytania jest (a przynajmniej chce być) dla Stanów Zjednoczonych.

Jeśli nie wiadomo o co chodzi, to chodzi o Amerykę

Wszystkie te scenariusze mają, obok wymienionych wcześniej, jeszcze jedną wadę, podstawową i wspólną. Nie wyjaśniają wcale, co Francja zyskuje (i czy dostatecznie wiele?) na tak gruntownej zmianie tradycyjnego stanowiska. Odrzucenia strategicznej zasady polityki kraju nie mogą przecież zrównoważyć jakiegoś doraźnego i w dłuższej perspektywie mniej istotnego korzyści. Nie należy więc szukać odpowiedzi ani w rekompensatach finansowych, ani chwilowych zyskach prestiżowych (choć takich też nie bardzo widać). No i pozostaje pytanie, czemu ta reorientacja nastąpiła tak nagle?

Przy świadomości, że można tu popełnić błąd typu “potem, więc w skutek tego”, nie sposób nie zauważyć: pomiędzy Niceją a Brukselą z grudnia 2003 r. roku był Irak.

W tej sprawie, poczynając od kampanii wyborczej do Bundestagu, Niemcy zajęły stanowisko znacznie bardziej odbiegające od amerykańskiego niż (przynajmniej z początku) Francja, tradycyjnie co najmniej sceptyczna wobec polityki USA. Tym samym Niemcy złamały starą, sięgającą jeszcze czasów Adenauera, zasadę utrzymywania dobrych stosunków z Ameryką, co sytuowało państwo niemieckie w roli cenionego i pożądanego pośrednika pomiędzy Waszyngtonem a Paryżem.

Irak sprawił, że pojawiła się szansa utworzenia w Europie silnego bloku, który będzie w stanie rzucić wyzwanie Stanom Zjednoczonym i wypromować Europę na alternatywną wobec USA siłę w świecie. Czy więc koncesje Francji nie były obliczone na trwałe przypisanie Niemiec do francuskiej wizji stosunków transatlantyckich?

Jeśli takie były zamiary, to chyba one także nie mają szans na realizację. Stosunek USA do Niemiec i Wielkiej Brytanii wyznacza w dużym stopniu powiedzenie, że Niemcy to jedyny kraj w Europie, który się liczy, a Wielka Brytania jedyny, który rozumie Amerykę. Także dla Niemiec stosunki z USA mają nadal wielkie znaczenie. Stąd widoczne obustronne wysiłki, by po okresie wzajemnego boczenia się zacząć znów rozmawiać i łątać dziury w moście przez Atlantyk.

Nie umierajmy tak łatwo

A co z zaproponowanym przez Konwent systemem głosowania? Czy jeśli odpadną wielkie polityczne motywy forsowania go, pozostanie jedynie argument, że jest prostszy?

To argument wątpliwej jakości. Naprawdę proste są jedynie wybory, gdzie wszystko sprowadza się do uzyskania zwykłej większości w skali całego kraju (tak jak wybory prezydenckie w Polsce). Już jednak głosowanie w wyborach parlamentarnych, nawet większościowych, nie jest tak banalne, ze względu na wcale nie prosty i budzący zawsze wiele politycznych kontrowersji sposób określania okręgów wyborczych. A wybory proporcjonalne? Ile osób w Polsce tak naprawdę zna i rozumie algorytm d’Hondta do ustalania wyników? Ile w związku z tym osób w Polsce zdaje sobie do końca sprawę z wpływu oddanego głosu na ostateczny wynik? A bywają systemy jeszcze bardziej skomplikowane, których nikt nie kwestionuje, jak np. system głosów przechodnich. W końcu

przecież z głosowaniem jest jak z samochodem: żeby jeździć, nie trzeba wcale znać się na mechanice ani na elektronice systemów sterowania, a samochód o prostszej budowie nie musi być (i najczęściej nie jest) łatwiejszy w prowadzeniu i użytkowaniu.

Zaletą proponowanego przez Konwent podziału głosów jest natomiast to, że przy dalszych rozszerzeniach Unii nie wymagałby on już zmiany, jako że siła głosu każdego nowego członka byłaby, tak jak dla członków starych, ściśle określona wielkością zaludnienia kraju. Nie jest jednak jasne, czy w pewnym momencie nie uznano by tego za wadę. Jeśli bowiem do Unii wejdzie Turcja, to, zważywszy na dynamikę procesów demograficznych, może okazać się za jakiś czas, że właśnie ten kraj dysponuje największą siłą głosu w Unii. A co będzie, jeśli do Unii wejdzie jeszcze Ukraina, albo, jak chcą niektórzy, nawet Rosja?

Sprawa nowego systemu podziału głosów w Unii wywołała już w Polsce poważną dyskusję. Miejmy nadzieję, że nie ograniczy się ona tylko do Polski, bo sprawa wymaga głębokiej analizy i szukania dobrych rozwiązań. Po prawdopodobnym wycofaniu się Hiszpanii ze wspierania polskich dążeń do utrzymania "Nicei" Polska może pozostać sama na placu boju. Tym bardziej nie będzie więc warto umierać ani za Niceę. Miejmy też nadzieję, że nasi partnerzy dojdą podobnie do wniosku, że z pewnością nie warto umierać za Konwent. Nie byłaby to bowiem chwalebna śmierć- ani za Polskę, ani za Francję, ani też za Niemcy, a na pewno nie za naszą wspólną przecież Europę.

** **Janusz Onyszkiewicz** - ur. w 1937 r., w latach 1980-89 działacz "S", 1989-2001 poseł (OKP, UD, UW), wiceminister obrony w rządach Mazowieckiego i Bieleckiego, minister w gabinetach Suchockiej i Buzka, obecnie w Centrum Stosunków Międzynarodowych*